

Ale heca!

Uwielbiam ten tydzień, kiedy trwa „Biała szkoła”. Co roku sprawia mi taką samą przyjemność. Dlaczego? Z wielu powodów. Ale najważniejszym oczywiście jest to, że jest luźniej z nauką! Nie ma sprawdzianów ani kartkówek. Lekcje leniwie płyną, nie pędzimy z materiałem, bo tamci pędzą nie w książkach, a po śniegu.



Zastanawiałam się, czy tym razem nie jechać. Rodzice mnie namawiali, brat też. Wszyscy w rodzinie jeżdżą na nartach, tylko nie ja! Nawet próbowali mnie nauczyć, ale im nie wyszło! Zostawili więc naukę właśnie na wyjazdy na „Białą szkołę”, ale skutecznie przekładam "mój debiut" z roku na rok. Jak widać i tym razem się udało.

Słońce świeciło dziś od rana. Dosłownie i w przenośni!!!
Z naszej klasy pojechało dziewięć osób.
Zapowiedzianych klasówek - 0.
Kartkówek - 0.
Luźne korytarze, brak kolejek do toalety na przerwach. Co za życie!

Pierwsza godzina - język polski. Klops! Zaległa kartkówka. Pięknie!!!
Kolejna lekcja - matma. I tu rozegrał się dramat! Ponieważ klasa zmniejszyła się o jedną trzecią, wszyscy po kolei zdążyli gęsiego pomaszerować do tablicy, by „z godnością lub bez”, rozwiązać przykłady z ułamkami. Tych „bez godności” oczywiście było więcej!!! Takiego żniwa to jeszcze Pani Marzena nie zebrała!!!

A miało być tak pięknie!

